

W DNIACH od 3 do 9 lutego Wasz Sprawozdawca znalazł się w miejscowości Oberhausen w Niemczech zachodnich, na dorocznym Festiwalu Filmów Krótkich. W ciągu sześciu dni obejrzałem blisko setkę filmów wyprodukowanych przez ateliery krótkometrażowe różnych krajów świata. Pozwalam sobie tutaj sprzetnować pokrótce wnioski z tej podróży, w nadziei, że zainteresują one również Szanownych Czytelników.

Filmy krótkometrażowe oglądamy przypadkowo i z odruchem zmiędrzenia; wybraliśmy się na film fabularny, który chcemy zobaczyć, o którym wiemy, czym jest, na który oczekujemy — i dostajemy niespodziankę—krótkometrażówkę, która odwieka chwilę gdy ujrzymy Brigitte Bardot; a bywa też, że ów dodatek to zgola nie pasujący do naszego stanu ducha jakiś dokument w rodzaju owego „Piłowania drzewa na Huculszczyźnie”, co poszło w przysłowie, na oznaczenie przysmowej chwały. Entuzjaci filmu krótkometrażowego ubolewają nad ową niedroczą sytuacją — że brak wolnego wyboru to dziedzinie filmu „małego” powoduje uprzedzenie psychologiczne publiczności; ten problem, stale kluczowy dla gatunku, i wciąż nie rozwiązany, był przedmiotem jednej z konferencji w Oberhausen.

Tak więc ja sam, jakkolwiek w pewnym sensie „fachowiec”, zerknąłem się dopiero na oym Festiwalu oko w oko ze sprawą, w jej najpełniejszych wymiarach. I tak np., wszystkie filmy, które reprezentowały Polskę, oglądałem po raz pierwszy na obcej ziemi (prócz „Requiem dla 500.000” Bossaka i Kąmierzalka, filmu o geście warszawskim, o którym pisaliśmy w „Polityce”). Mimo że tu w kraju, ustawicznie chodzę do kina, nie trafiłem jednak na żadną z owych siedmiu pozycji, które zapewniły naszej reprezentacji pierwsze miejsce. Tak jest; prasa nasza podala wiadomość o tym triumfie, ale obawiam się, że czytelnicy nie wzięli tego na serio: tyle słyszymy o wyróżnieniach, dyplomach i żetonach pamiątkowych dla polskich wyznawców, potem zaś okazuje się, że było to miejsce w pierwszej pięćdziesiątce, przeważnie czterdzieste

dziesiątą. Otóż spieszę zapewnili Szanownych Państwa, na podstawie naucej wizji, że tym razem jest to fakt: przekonaliśmy się, że polski film krótkometrażowy jest twórczym i jedną z nielicznych dziedzin naszej twórczości, która się istotnie liczy z górną. I to w czasie, gdy nasz film fabularny leży na obie łopatki; kto wie zatem, czy krótki metraż nie przejmie paleczki porzuconej przez cokolwiek splajtowaną „szkołę polską”.

Ale po porządku! Otóż Oberhausen leży prawie nad granicą francuską i jechałem tam całą dobie pociągnięty. Miasto to należy do głośnego Zagłębia Ruhry; jest ono właściwie jednym z wielkich przedmieść owego wielokilometrowego kompleksu przemysłowego, którego centrum ma być Essen (dokąd można dojechać z Oberhausen tramwajem). Jest to więc owo serce przemysłowe Niemiec oraz arseń, z którego wyszły dwie wojny światowe. Skąd tutaj sielankowy festiwal filmów krótkometrażowych, na który zjeżdżają mianicy z obydwu półkuli?

Wypytywałem na ten temat kogoś mojego z miejscowych, i oto wyjaśnienia, jakie otrzymałem (powtarzam z dobrą wiarą, nie mając możności sprawdzić). Zagłębie Ruhry straciło w Niemczech rolę produkującą. Nowoczesna produkcja odwróciła się od węgla i poszła w kierunku eksploatacji ropy. Wiele kopalni zostało zamkniętych. Obecnie Zagłębie Ruhry robi wrażenie prowincji zasobnej, spokojnej i mało ciekawej. Mimo że dookoła widnieją fabryki na horyzoncie, nie słychać hałasu ani nie widać dymu (który był dawniej kłęską okolicą — 80 proc. lekarzy to byli larngolodzy); w nocy zaś spałem w ciszy znaczenie głębszej niż na mojej pełnej tumulu ulicy warszawskiej.

Ten status prowincji, decentralizacji oraz separacji od Niemiec, sprawił, że miasta Ruhry zaczęły uprawiać na własną rękę różne oddzielne dziedziny życia kulturalnego. Między innymi, w Oberhausen zorganizowano festiwal filmów krótkometrażowych, instytucja trwająca (z pomocą rady miejskiej) już dziesiąty rok, posiadająca obecnie własne sale pokazowe (nowo zbudowane), biura, wyspecjalizo-

SUKCES POLSKI W ZAGŁĘBIU RUHRY

film

ZYGMUNT KALUŻYŃSKI

waną obsługę, itd. Zjazd najważniejszych w świecie, obelany przez fachową prasę z tej i tamtej strony Oceanu, istna „stolica krótkiego metrażu”. W tym roku samych zaproszonych gości było tyśiąc (m. in. Wasz sluga), prócz tego handlowcy, dystrybutorzy, przedstawiciele firm, którzy zjeżdżają tu niby na targi, by nabyć dodatki do programów do tysiąca kin w świecie. Bo tak czy inaczej, seanse idą bez przerwy i dodatki są potrzebne; to jest biznes większy niż przypuszczamy!

Zaś pośród tego wyspecjalizowanego interesu, Polacy na pierwszym miejscu. Nic na to nie poradzę, ale tak jest. Nie wiem, czy to długa potroca, ale na razie to fakt. Byłem świadkiem, jak po pokazie filmu animowanego (który w Polsce niełatwo zobaczyć) „Czerwone i czarne” (jest to uroczą walka między rysunkowym czerwonym toredorem i czarnym bykiem), sala nie chciała się uspokoić dopóki nie wyszedł przed ekran młody człowiek, mało u nas znany, nazwiskiem Witold Giersz, ze Studia Miniatur Filmowych w Warszawie. Podobne wywołanie zdarzyło się, jak informowali znawcy, po raz pierwszy odkąd istnieje Oberhausen. Giersz otrzymał następnie pierwszą nagrodę Grand Prix, ufundowaną przez... Firmę „Friedrich Krupp” z Essen! Proszę docenić pikanterię sytuacji.

Film „Czerwone i czarne”, jakkolwiek istny popis, był jeszcze kto wie, czy nie najmniej zasadniczy z reprezentacji polskiej, w której każda pozycja przynosiła materiał do rozmyślań. Ta wartość intelektualna zapewniła naszym filmom ich wysoki autorytet. Słyszalem rozważania na temat, jak to polski krótki metraż okazał się pionierski wobec współczesnych

kierunków kina światowego. Rzekniesz, filmy (również mało u nas znane) Kazimierza Karabasa, pokazujące nie więcej jak próbę orkiestry amatorskiej tramwajarzy, czy twarze dzieci uczących się z tysiąkiem solfeżu na szkole muzycznej — przez swoje skupienie, intensywność, kontemplację w upatrywaniu się w szczegól błahy z pozoru, lecz jak się okazuje — wypełniony ludzką treścią — czy nie zapowiadają głośnego Antonioniego, z jego analizą „detalu psychologicznego”, modną ostatnio („Przygoda”, „Zacmienie”). Filmy Jaworskiego, jak „Kapo”, „Zródło”, wprowadzają okrzykami ostatnio styl „cinéma-réité” (kino-prawda), polegający na przypadkowym notowaniu na gorąco, zachowaniu się ludzi na ulicy, w każdej chwili życia codziennego. W polskim krótkim metrażu ten gatunek ma cel publicystyczny, ubudowany jest w zagadnienie, służy dramaturgii; gdy francuskie podobne przykłady oglądają cokolwiek chaotycznie nastawione są raczej na jałowe zabałowanie się ową surową spontanicznością samą dla siebie. Film młodego reżysera Daniela Szczerechy „Fotel” (główna nagroda w dziale filmów rysunkowych w Oberhausen), daje pod formą żartu graficznego (świat oglądany bez chwili przerwy „z lotu ptaka” — ludzie od strony szczytu czaszek oraz wystających czubków butów) uderzającą satyrę społeczną; tłum nie dopuszcza, by ktoś spośród niego dostał się na elitarny fotel, gdzie zasiadają aururgy (uczciwemu do honoru podstawiła się nogi, przewraca go się, odciąga na wszelkie sposoby), ale gdy wreszcie jedynemu upartemu udało się dostać na podium (i zaraz jego głowa zmienia kolor na niebieski, jak u innych wybranych...), tenże tłum, który

próbował go przed chwilą rozdeptać, wybucha teraz oklaskami. Film Majewskiego „Pojedynek” pokazuje walkę dwóch sportowców — miotaczy kul, polskiego i amerykańskiego, w cyklu zdjęć „zatrzymanych”, odsłaniających napięcie, wyżeczenie, zaciętość zawodników — bywa, że groteskową w geście nagle urwonym, ale w sumie, nacechowaną ostatecznym tysiąkiem, tak że wreszcie film ma coś z dramatu walki, dorównującego owym antygonizmom z wielkich filmów granicznych przez czołowych tragiczności...

W sumie, owca polska reprezentacja pokazana w ciągu jednego wieczoru dawała efekt, jaki przynosił niegdyś przed laty najpoważniejszą pozycję pełnoprogramowej „szkoły polskiej”, dziś świętej pamięci... Jury w Oberhausen, prócz nagród dla oddzielnych filmów, przyznało też globalną nagrodę Polakom „za całość pokazu”. Istotnie przyznać trzeba, że mimo ciekawych pozycji, żadna inna grupa produkcji narodowej nie sprawiła wrażenia podobnej jednolitości i równowagi. Prócz tego w barwach Niemiec zachodnich wystąpił nasz grafik Jan Lenica ze świetnym filmem „Nosorożec”, zaś w reprezentacji francuskiej Walerian Borowczyk z filmem „Odrodzenie”. Obydwie te pozycje twórczości ocenili, jako z ducha rdzennie polskie to dalszy ciąg jego bardzo „warszawskiego” „Pana Głowy” i jego własnych karykatur z naszej prasy, zaś film Borowczyka wyraża ścisłe narodową obsesję ciągłego zniszczenia i rekonstrukcji — przedmioty rujnują się tu i odbudowują znów. Gdy dodamy więc jeszcze tych dwóch czasowych „emigrantów”, okaże się, że Polacy istotnie są — przynajmniej na razie — siłą międzynarodową w domenie krótkiego metrażu.